



kwiaty nowej kultury

magazyn Ruchu Światło-Życie

Poezja

Twórczość Antoniego Bielenia
i Olgierda Włodarczyka

Kultura i nauka

Refleksja o integralności, świadectwa wiary pierwszych chrześcijan oraz stosunek Jezusa do szabatu

Kultura w Ruchu

Wywiad z wielkim artystą Ruchu
oraz homilia z nabożeństwa błogosławienia animatorów

Spis treści

OD REDAKCJI	_____	4
POEZJA	_____	5
RĘKODZIEŁA	_____	7
KULTURA I NAUKA	_____	8
KULTURA W RUCHU	_____	16

Redakcja

REDAKTOR PROWADZĄCY NUMERU

Mateusz Łukasik

STRONA TYTUŁOWA

Mateusz Łukasik, Wiktor Malinowski

OPRAWA GRAFICZNA

Wiktor Malinowski, Mateusz Łukasik, Natalia Romaniak

SKŁAD I EDYCJA

Wiktor Malinowski, Mateusz Łukasik,

KOREKTA

Adrianna Bednarek

REDAKCJA

Adrianna Bednarek, Antoni Bielań, Tomasz Kamiński, Oliwia Kwiatkowska, Mateusz Łukasik, Wiktor Malinowski, Karolina Pietrzyk, Małgorzata Piskorz

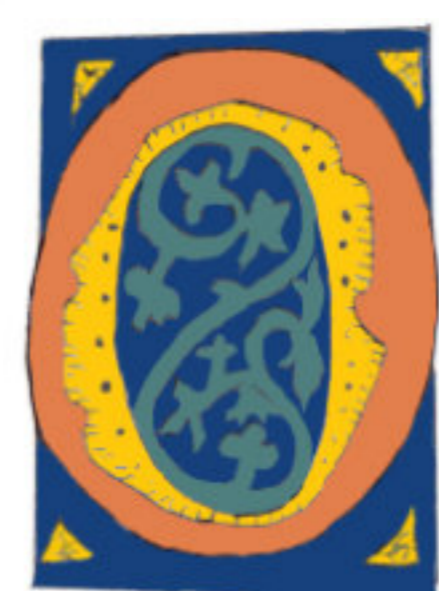
Kwiaty Nowej Kultury

Numer: 03/26

Ruch Światło-Życie

Diecezja warszawsko-praska AD 2026

kwiatynowejkultury@gmail.com



Od redakcji

Czas. Zjawisko jakże banalne, ale i intrygujące. W momencie, kiedy piszę te słowa, kończy się karnawał, a nad horyzontem tygodnia majaczy okres postu przygotowujący nas do świąt będących osią naszego kalendarza liturgicznego. W gruncie rzeczy tak naprawdę nie wiemy, czym jest czas. Nie potrafimy go zdefiniować. Nadaliśmy elementowi rzeczywistości nazwę, która pozornie stwarza iluzję zrozumienia przez nas istoty tego czegoś. Ale nie ma podręcznika fizyki, historii, filozofii, czy nawet wzoru, który mógłby zdefiniować czas jako taki, a nie jedynie jego upływ.

Nasze myślenie o czasie i historii jako zmierzających do jakiegoś końca (i od jakiegoś początku) zostało ukształtowane przez chrześcijaństwo. Przed nim nie brakowało teorii, w których oś czasu ciągnęła się w nieskończoność tak do przodu, jak i do tyłu.

Kalendarze jakie wynajdywała ludzkość są zawsze jakąś mniej lub bardziej udaną próbą zamknięcia i wtłoczenia rzeczywistości w za małe dla niej ramy. Jedne dokładniejsze, a inne piękniejsze, jak długo utrzymujący się na wschodzie pogląd, że Pan Bóg stworzył świat 1 Września, a więc ponad wszelką wątpliwość jesienią.

Wywarzam już dawno otwarte drzwi, pisząc rzeczy może nie nowe, tylko inaczej ponazywane – mianowicie, że to właśnie czas jest przestrzenią, w której dokonano się odkupienie człowieka i w której my decydujemy o naszym uczestnictwie w nim lub o jego braku.

Czas jest przestrzenią naszej decyzyjności - odkrywania naszego powołania i głosu Boga. Jest przestrzenią naszych wyborów będących preparatio dla przyszłego życia.

Czas jest właśnie taką przestrzenią, ale przestrzenią nietrwałą, bo mającą swój kres. Jednak nawet to, co było przed nami, a czego już nie ma, a więc to, co de facto nie istnieje [przeszłość] ma paradoksalnie dla nas dzisiaj jakieś znaczenie i chroni nas od

utknięcia w prowincjonalizmie czasów. Przykład męczenników jak Św. Sebastiana czy wyznawców jak Św. Marcina umacnia nas i inspiruje w naszej wędrówce do domu Ojca. a nawet i od ludzi, nieoświeconych przez Boga światłem wiary, czerpiemy wzory różnych cnót.

Czas jest też przestrzenią naszych obowiązków. Jedyna istniejąca chwila obecna jest pilnym przedmiotem do zagospodarowania, aby nie stała się ona talentem porzuconym w/na ziemi. Mamy tu strzec depozytu i wchodzić z Nową Kulturą we wszelkie przestrzenie życia. Co ważniejsze, czas jest przestrzenią do „zmarnowania” z Bogiem, które poprzez budowanie relacji z Nim buduje relacje między nami. Ten aspekt szczególnie mocno podkreślał Jezus, ganiąc faryzeuszów. Na to też wskazuje św. Jan od Krzyża, mówiąc, że będziemy sądzeni z miłości.

Redaktor prowadzący numeru



Poezja

Antoni Bielań

„Hymn niezrozumiałego uwielbienia”

O jedyny, wszystkim Boże!
 O potężny! o łagodny!
 Cierpliwy, co wszystko może!
 Hołdu godny!

Ciebie słuchać! Tobie zwierzać!
 Bać się! Kochać jeszcze lepiej!
 Brać od Ciebie i zawierzać
 Wszystko w niebie!

Ty wrywasz o swym czasie
 Co zasiała Twoja Ręka
 Na nic upór, płacz mój zda się
 Choćbym klękał

Bosą stopą lód mój kruszysz
 Wyrrywając serca złogi
 i zabierasz skarb mój w burzy
 O złowrogi!

Jak ma pojąć Cię mój rozum?
 Twa prostota nazbyt trudna
 i zbyt trudny życia sposób
 Wiara żmudna

Lecz nie umiem Ci nie ufać
 i miłości swojej cofnąć
 Ufam wciąż, choć zasnuwam
 Łzą się słońca

Olgierd Włodarczyk

„Leonidas”

Dzisiaj trochę jakby przygaś
nasz wspaniały Leonidas.
Twarz mu przebiegł szybki grymas,
nie pokaże tego przy nas.

Jaki dzisiaj humor masz?
Jaką dzisiaj przyjmiesz twarz?
Siebie sam nie oszukasz,
choć bardzo dobrze grasz.

Świat apetyt dzisiaj ma
na wielkiego bohatera.
Każdy już go dobrze zna,
niech legenda jego trwa.

Ten wiersz powstał pierwotnie jako piosenka. Interpretację pozostawiam czytelnikom - możliwe, że znajdą lepszą niż moja własna ;)

Rękodzieła

Oliwia Zubczyńska



Haft stworzony na śluby wieczyste 8.12.2025.



Kultura i nauka

Tomek Kamiński

Zrozumieć całość - refleksja o integralność

It's so obvious. I can actually see and hear and feel and taste it and... The fundamental forces are yoked by a single thought. I can actually see the machinery and wire connecting and separating everything since it all began... This is how he sees all the time, every day. Like it's all just us, in here, together. And we're all we've got.

Alexander Luthor – *All-Star Superman #12*; Grant Morrison, Frank Quitely

Wykorzystanie cytatu z komiksu, a szczególnie wypowiedzi „tego złego” na rozpoczęcie artykułu może trochę dziwić. Ale ciężko było mi znaleźć wypowiedź lepiej wprowadzającą do tematu, który chcę poruszyć. Chciałem za pomocą tego tekstu zagłębić się w rozważania o współczesności, o świecie, który nas otacza, i o tym, jak my go postrzegamy i jak w nim funkcjonujemy. Te rozmyślenia to również owoc niedawnej lektury różnych tekstów z szerokiego wachlarza czasowego.

Czym jest ekologia?

Termin *ekologia* i pokrewne mu przymiotniki sprowadzamy bardzo często do znaczenia *ochrona środowiska, naturalne pochodzenie, przyjazne naturze*. To słowo ma jednak dużo szersze znaczenie. *Oikos* oznacza z greckiego *dom*, zaś *logos* moglibyśmy tłumaczyć jako *słowo*, ale właściwsze będzie *sens*. Składając to razem, otrzymamy naukę, której głównym zadaniem jest zgłębianie sensu istnienia i funkcjonowania naszego domu – przyrody i środowiska. Ekologia to badanie związków pomiędzy żywymi organizmami a środowiskiem oraz ich wzajemnych związków: jak na siebie oddziałują, powodują zmiany; badanie tych oddziaływań, oraz ich przyczyn i skutków. Żadne stworzenie nie funkcjonuje samodzielnie. Każde stanowi element pewnego systemu – ekosystemu.

Ekosystemy w przyrodzie

Żeby wyciągnąć wnioski z funkcjonowania przyrody, prześledźmy, jak funkcjonuje przykładowy ekosystem: las liściasty klimatu umiarkowanego, których pełno w polskim krajobrazie. Omówimy, jak krąży w nim materia i jak przepływa przez niego energia. Zaczniemy od elementów nieożywionych (biotopu): woda niezbędna do życia i sole mineralne (szczególnie związki sodu, potasu, azotany, fosforany, siarczany) stanowiące źródło pierwiastków niezbędnych do budowania złożonych białek i cukrów zawarte w glebie, a także tlen i dwutlenek węgla zawarte w atmosferze, będące niezbędnymi składnikami wszelkich związków organicznych. Do tych elementów możemy jeszcze włączyć warunki cieplne (temperaturę otoczenia) i świetlne, które są sinikiem procesów biologicznych. Te substancje są pobierane przez producentów (w naszym lesie będzie to wszelaka roślinność: mech i drobne rośliny runa leśnego, krzewy podszytu i wysokie drzewa), i przy wykorzystaniu energii ze słońca przekształcone w związki organiczne, wykorzystane do wzrostu samych producentów oraz do magazynowania energii. Kiedy producenci obumierają, reducenty (grzyby i bakterie) pozyskują z ich pozostałości materię i energię do własnego wzrostu i funkcjonowania. Powodują też powrót związków nieorganicznych do gleby i atmosfery. Należy jeszcze dodać konsumentów. Będą to roślinożercy i drapieżniki, którzy nie mogą pobierać energii bezpośrednio ze słońca i muszą to robić przez odżywianie się roślinami lub innymi zwierzętami. W lesie będzie to większość stworzeń: od owadów po największą zwierzynę łowną. Po obumarciu organizmy te będą pokarmem dla reducentów.

Ten wywód prowadzi nas do kilku spostrzeżeń. Po pierwsze, materia krąży w ekosystemie w zamkniętej pętli. Jest pobierana z gleby i powietrza, przekształcana w związki organiczne przechodzące między organizmami i ostatecznie rozkładana

z powrotem do swojej nieorganicznej postaci. Po drugie, energia jest nieustannie zużywana przez ekosystem, a jej pierwotnym źródłem jest promieniowanie słońca. Ono w procesie fotosyntezy powoduje wytworzenie cukrów, które są głównymi magazynami energii w organizmach. Konsumenty przyswajają energię zmagazynowaną w wiązaniach chemicznych przyswajanego pokarmu (innych organizmów). Podobnie funkcjonują reducenty. Na każdym etapie (poziomie troficznym) energia jest zużywana w różnych procesach życiowych: na tworzenie nowych związków, służących do budowy ciała, na ruch komórek i całych organów, na utrzymanie odpowiedniej temperatury organizmu. Ostatecznie energia uchodzi do środowiska jako ciepło i ulega rozproszeniu. Jako ostatni wniosek możemy zobaczyć, że każdy gatunek, a nawet każdy organizm posiada w ekosystemie wyjątkową niszę, którą obejmuje ze względu na posiadane cechy. Zaś funkcjonowanie wszystkich gatunków tworzy całość niezbędną do zdrowego życia ekosystemu.

W jako powyższy przykład podałem las, jednakże nie wyczerpuje on w pełni tematu, gdyż gatunki (szczególnie zwierzęta) są zdolne do migracji poza ekosystem. Znaczą to, że nie są to izolowane od siebie środowiska, lecz są zdolne do wymiany materii i energii między sobą. Pozwolę sobie stwierdzić, że ekosystemy tworzą większą całość, jaką jest ziemską biosferę. To jest prawdziwie izolowany układ, którego barierą jest przestrzeń kosmiczna. Wszystko poniżej współtworzy globalny obieg wody, węgla i azotu, a także reguluje temperaturę planety. Wszystkie organizmy mają wpływ na ogólny stan planety, ale największy posiada jeden gatunek: człowiek.

Systemy ludzkie

Człowiek jest wyjątkowym stworzeniem. Kiedy wszystkie organizmy funkcjonują kierowane instynktem – zmysłem przetrwania i podtrzymania gatunku, on jest zdolny pojąć rozumem otaczającą go rzeczywistość i w wolności kierować swoim życiem. Jednak czerpiemy z tego, co obserwujemy w naturze i podobnie budujemy swoje środowisko. Pozyskujemy energię do funkcjonowania: najpierw

to robiliśmy z naszych i zwierzęcych mięśni, potem okiełznaliśmy żywioły i głębiny ziemi, a współcześnie nawet potrafimy ją wydobyć z atomu i samego słońca – na wzór roślin. Ta energia już nie tylko podtrzymuje nasze biologiczne funkcjonowanie, ale pozwala zaspokoić wyższe potrzeby. Również materię nauczyliśmy się pozyskiwać i przekształcać by polepszyć komfort naszego życia, a nawet uzupełnić to, czego naturalnie nie posiadaliśmy. Mógłbym też powiedzieć, że żadne inne stworzenie nie wyraża większej różnorodności wewnątrzgatunkowej niż ludzie, którzy według swoich uzdolnień i pragnień spełniają różne funkcje w społeczeństwie.

Wiele wspaniałych rzeczy uczyniliśmy dzięki tym dwóm Bożym darom. Rozumienie wywołało wzrost, postęp. Na przestrzeni lat nauczyliśmy się budować domy, drogi, mosty, wodociągi i wiele innych. Odkryliśmy lekarstwa i zabiegi lecznicze. Wymyśliliśmy różne sposoby wytwarzania i przetwarzania żywności. Opracowaliśmy coraz to nowe techniki komunikowania się ze sobą. Także wiele innych dziedzin życia uległo polepszeniu, by podnieść komfort życia, zaspokoić podstawowe potrzeby, byśmy bez przeszkód mogli podążać za tymi wyższymi. Ale czy tak wygląda obecny postęp? Zaczęliśmy go pożądać dla niego samego. Nowe „odkrycia” często już nie służą rozwiązaniu jakiegoś problemu, ale wywołują je przez rozbudzanie pragnienia tej nowej rzeczy. Pragnienia dla samego pragnienia. I pragnienia dla wypełnienia kieszeni. Czołowym przykładem takiego wynalazku jest sztuczna inteligencja. Sieci neuronalne to wysoce złożone i potężne narzędzia, które są w stanie pomóc naukowcom w dokonywaniu odkryć mogących faktycznie rozwiązać wiele światowych problemów: poszukiwanie nowych, złożonych substancji w celu opracowania lekarstw i materiałów o odpowiednich właściwościach, czy analiza złożonych procesów chemicznych, biologicznych czy środowiskowych w celu prognozowania zmian i przygotowywania odpowiedzi na nie. Są także przydatne w innych dziedzinach, jak rozpoznawanie pisma, obrazu, wspomaganie pracy twórczej. Jednocześnie to narzędzie jest wprowadzane na siłę w miejscach, gdzie korzyści odnoszą jedynie właściciele firm, ze względu na obniżenie wydatków na pracowników: pomoc

techniczna, media społecznościowe, całe procesy twórcze. A sztuczna inteligencja nie jest darmowym narzędziem. Wymaga dużych nakładów odpowiedniego sprzętu elektronicznego, a także ciągle zużywa duże ilości energii i wody (do chłodzenia). Zasobów, które są potrzebne również w innych przestrzeniach ludzkiego funkcjonowania.

Właśnie, postęp nie jest darmowy. Wymaga nakładu intelektualnego, fizycznej pracy oraz energii i zasobów do wdrożenia. A tak wiele mamy problemów, które od wielu lat ignorujemy, zamiast rozwiązać, gdzie ten postęp jest bardziej potrzebny. W przywołanym wcześniej opisie ekosystemu zaznaczyłem, że ważną rolę pełnią w nim reducenty, którzy umożliwiają powrót materii z obumarłych organizmów z powrotem w obieg. Czy my do końca rozwiązaliśmy problem śmieci? Nie chodzi tu wyłącznie o recykling, bo jest wiele płaszczyzn (technicznych i społecznych), które muszą ze sobą współpracować, by rozwiązanie było dobre i długotrwałe: projektowanie produktu (zmniejszenie liczby różnych materiałów, używanie trwałych lub łatwo przetwarzalnych surowców, naprawialność), metody zbierania i sortowania odpadów, techniki odzysku materii i energii, skłanianie prawne i zwyczajowe producentów i konsumentów do włączania się w ten proces. Jeżeli stosowane rozwiązania będą na celu miały tylko zaspokojenie obietnic politycznych czy stworzenie reklamy przedsiębiorstwom, to możemy o nich zapomnieć. Problem śmieci jest tylko jednym z wielu, z którymi się zmagamy, ale dobrze obrazuje ich złożoność, wynikającą ze złożoności systemów, w jakich żyjemy.

Na koniec odniosę się jeszcze do jednego wniosku z pierwszej części: nasze lokalne systemy współtworzą jeden usieciowany system, jakim jest nasza globalna wioska. Każdy naród, państwo, związek, samorząd jest częścią tej wielkiej wspólnoty ludzkiej. I nie możemy ukrywać, że nie obchodzą nas problemy innych, bo są one zawsze z nami związane, choć nie bezpośrednio. Potrzeba zatem współpracy: społecznej, ekonomicznej, naukowej. Potrzeba rozmowy i słuchania. Dobre działanie polega na równości partnerów, wzajemnym poszanowaniu ich

godności. Narzucanie metod i rozwiązań nie będzie skutkowało rozwiązaniami, a wręcz może pogorszyć istniejące relacje. Wiele napisałem o rozwiązywaniu problemów, o właściwej alokacji zasobów, ale problem problemowi nie równy – według czego się kierować przy tych dyskusjach?

Człowiek – mikrokosmos

Człowiek jest umiłowanym Bożym stworzeniem. Pan powołał nas do życia (jak wszystkie istoty) ze swojej nieprzebranej miłości. Dlatego też każdy człowiek posiada niezbywalną godność dziecka Bożego. Choć różne wybory życiowe mogą ją w nim zaćmić (przed sobą samym jak i przed innymi), to jednak nigdy jej nie traci. Jest ona nam nie tylko dana przez Pana, ale także jest zadaniem: zrodzeni z miłości mamy żyć według jej wskazań. Chrystus przechodząc przez ziemię, nie tylko usunął zmyślenie grzechu, ale przypomniał nam w nauce o tej rzeczywistości. Zostaliśmy na nowo przywróceni do wolności. Wolności, która dokonuje wyborów według tej pierwotnej i odnowionej godności.

Zatem nasze ziemskie działania powinny opierać się właśnie na fundamencie poszanowania godności każdego człowieka, dostrzegania w nim dziecka Bożego i naszego brata. Z tego fundamentu wypływają cztery wartości prowadzące naszymi działaniami. Prawda pozwala spojrzeć na rzeczywistość, jaką faktycznie jest. Wolność umożliwia podejmowanie decyzji według własnego osądu. Sprawiedliwość jest podstawą życia wspólnego, a miłość pozwala ludziom budować wyżej i uzupełnić braki sprawiedliwości.

Człowiek został stworzony na Boże podobieństwo. Widać je szczególnie przez zdolność do twórczości. Człowiek od zawsze kształtował swoje otoczenie tak, by odzwierciedlało jego wnętrze: duszę, psychikę, myśli. Robi to szczególnie poprzez sztukę, ale także przez styl życia, pracę, zwyczaje. Człowiek także czerpie ze swojego otoczenia: porządkuje myśli i wartości, poznaje siebie przez porównanie z innymi. I tak trwa ciągły taniec mikrokosmosu z makrokosmosem. Niestety często w ramach „optymalizacji” i „zwiększania wydajności” zapominamy o tym. Tworzymy miasta, zdolne upchnąć miliony mieszkańców, ale swoją brzydotą

i monotonią graniczą z zakładami przemysłowymi. Swoje grafiki układamy według maksymalizacji zarobków, a nie zostawiamy czasu dla naszych najbliższych. Uczymy się tak, by przebrnąć przez szkołę i studia, a nie dostrzegamy piękna ukrytego w otaczającym nas świecie. Potrzebujemy przystanąć, zwolnić tempo naszego życia i zastanowić się: nie tylko „ile” robimy, ale też „jak”. I potrzebujemy przystanąć wspólnie, razem popatrzeć na otaczającą nas rzeczywistość w jej całości, a nie tylko fragmentarycznie. A żeby tego dokonać, nie wystarczą nam tylko ludzkie siły.

Synergia Boga i człowieka

Bóg jest wspólnotą. Nie tylko żyje w niej, ale nią jest. To trzy Osoby nieustannie ze sobą złączone w dialogu miłości: wzajemnego ofiarowywania się i przyjmowania. Bóg stwarzając człowieka, pragnął, by i on był członkiem tej nieustannej wymiany. Człowiek na początku odrzucił tę łaskę, ale przez dzieło Chrystusa został nie tylko na powrót w nią włączony, ale także zobaczył, na czym ma polegać ta relacja. Teraz są czasy ostateczne – czas działania Ducha Świętego.

Duch Święty, przez ciągłe wołanie „Przyjdź!”, pragnie wejść do naszych serc i poprowadzić nas po drogach życia, ale wymaga to naszego pragnienia, naszej miłości i decyzji otwarcia mu tych drzwi. On jest łaską i przynosi łaskę, ale wymaga ona też naszej pracy. Tu łatwo nam wpaść w jedną ze skrajności: albo robić samemu, albo nie czynić żadnego wkładu. A nowe życie polega właśnie na synergii – na współdziałaniu naszej ludzkiej natury z boską naturą Ducha.

Dlatego nie można mówić o zmienianiu świata, bez przemiany w pierwszej kolejności naszego wnętrza. Przemiany opartej na wierze, na spotkaniu z Bogiem na modlitwie, na karmieniu się Jego Ciałem w Eucharystii, na przyznaniu się przed nim ze swoich grzechów w sakramencie pokuty i pojednania. Gdy pójdziemy tą drogą, będą kwitły w nas prawda, wolność, sprawiedliwość i miłość, które będziemy mogli zanieść naszym braciom, tym bliskim jak i tym dalekim.

Konkluzja

Ten tekst wyszedł długi i postrzępiony, ale chciałem pokazać w nim, jak niezwykły jest cud stworzenia, a szczególnie jego klejnot: człowiek, a także jak niezwykły jest Bóg, który wszystko uczynił właśnie takim. Na koniec chciałbym tylko podkreślić, co uważam za najważniejsze i z czym chciałbym Was zostawić. Bądźmy otwarci na stworzenie: podziwiamy piękno, ale też poznawajmy jego funkcjonowanie i uczmy się, kształtujmy nasze wnętrza. Nie zapominajmy też, że możemy także kształtować nasze otoczenie, dokonywać zmian, które będą dobrze oddziaływać nie tylko na nas, ale też na innych. I ostatnie, to, co otworzyło te rozmyślenia: wszystko jest powiązane. My i Bóg, my i świat, my i inni ludzie, nasze lokalne środowiska z całym światem, nasze wnętrza z naszym zewnętrzem – wszystko, bardziej lub mniej, bezpośrednio na siebie oddziałuje. Umiejmy patrzeć zarówno na szczegóły, jak i na całość.

Tomek

Zobacz także:
Laudato si, papież Franciszek, 2015
Mowa o godności człowieka, Giovanni Pico della Mirandola, 1486
Liturgia ze źródła, Jean Corbon, 2007
All Star Superman, Grant Morrison, Frank Quitely, 2008
Kompendium Katolickiej Nauki Społecznej

Karolina Pietrzyk

Święty Sebastian i katakumby – świadectwo wiary pierwszych chrześcijan

Postać św. Sebastiana od wieków zajmuje szczególne miejsce w pobożności chrześcijańskiej. Jest on jednym z najbardziej rozpoznawalnych męczenników Kościoła, a jego wizerunek – młodego żołnierza przeszytego strzałami – stał się symbolem niezłomnej wiary, wierności Chrystusowi oraz odwagi w obliczu prześladowań. z jego kultem nierozdzielnie związane są katakumby św. Sebastiana w Rzymie, które do dziś pozostają wymownym świadectwem życia i wiary pierwszych chrześcijan.

Święty Sebastian – żołnierz Chrystusa

Święty Sebastian żył na przełomie III i IV wieku, w czasach panowania cesarza Dioklecjana, jednego z najokrutniejszych prześladowców chrześcijan. Według tradycji pochodził z Narbonne w Galii, jednak wychował się w Mediolanie. Wstąpił do armii rzymskiej i dzięki swoim zdolnościom oraz lojalności szybko awansował, stając się oficerem gwardii cesarskiej. Jego pozycja pozwalała mu pozostać w ukryciu jako chrześcijanin, a jednocześnie nieść pomoc współwyznawcom.

Sebastian potajemnie wspierał chrześcijan uwięzionych za wiarę, dodawał im otuchy, umacniał w nadziei i zachęcał do wytrwałości. Tradycja podaje, że nawrócił wiele osób, w tym żołnierzy i urzędników cesarskich. Jego działalność nie pozostała jednak niezauważona. Gdy wyszło na jaw, że jest chrześcijaninem, cesarz Dioklecjan skazał go na śmierć.

Egzekucja św. Sebastiana miała szczególnie okrutny charakter. Przywiązano go do pala lub drzewa i przeszyto strzałami. Uznano go za martwego i pozostawiono na pewną śmierć. Jednak ku zdumieniu oprawców Sebastian przeżył. Odnalazła go chrześcijanka imieniem Irena, która opatrzyła jego rany i przywróciła go do zdrowia. Zamiast uciec, Sebastian zdecydował się ponownie stanąć przed cesarzem i publicznie upomnieć go za prześladowanie chrześcijan. Ten akt odwagi przypieczętował jego los – został śmiertelnie ubiczowany, a jego ciało wrzucono do rzymskiej kloaki.

Ciało męczennika zostało jednak odnalezione i pochowane przez chrześcijan w katakumbach przy Via Appia. To właśnie tam narodził się jeden z najstarszych i najważniejszych kultów męczenników w Rzymie.

Katakumby św. Sebastiana – podziemny Kościół

Katakumby św. Sebastiana, położone przy starożytnej Via Appia, należą do najważniejszych zespołów katakumbowych w Rzymie. Ich historia sięga II wieku, kiedy to chrześcijanie zaczęli chować swoich zmarłych w podziemnych korytarzach, z dala od pogańskich nekropolii. Katakumby nie były jedynie miejscem pochówku – pełniły również funkcję przestrzeni modlitwy, pamięci i nadziei na zmartwychwstanie.

Początkowo teren ten był cmentarzem pogańskim, który z czasem został przejęty przez wspólnotę chrześcijańską. W III wieku miejsce to stało się szczególnie ważne, ponieważ według tradycji przechowywano tam przez pewien czas relikwie apostołów Piotra i Pawła, aby uchronić je przed profanacją w okresie prześladowań. To sprawiło, że katakumby stały się celem licznych pielgrzymek już w starożytności.

Nazwa katakumb wywodzi się od greckiego określenia *ad catacumbas*, oznaczającego „w zagłębieniu”. z czasem termin ten zaczął być używany w odniesieniu do wszystkich podziemnych cmentarzy chrześcijańskich. Katakumby św. Sebastiana dały więc nazwę zjawisku, które stało się jednym z najbardziej charakterystycznych elementów wczesnego chrześcijaństwa.

Świadectwo wiary zapisane w kamieniu

Spacerując dziś korytarzami katakumb św. Sebastiana, można niemal dotknąć historii. Wąskie przejścia, nisze grobowe oraz proste inskrypcje ukazują wiarę ludzi, którzy mimo prześladowań trwali przy Chrystusie. Symbole takie jak ryba, kotwica czy dobry pasterz przypominają o nadziei na życie wieczne i o zwycięstwie życia nad śmiercią.

cią. Nad katakumbami wznosi się bazylika św. Sebastiana za Murami, jedna z siedmiu bazylik pielgrzymkowych Rzymu. To właśnie tam do dziś oddaje się cześć męczennikowi, prosząc o wstawiennictwo w chwilach próby, choroby i zagrożenia. W średnio-wieczu św. Sebastian był szczególnie czczony jako obrońca przed zarazą i epidemiami, co przyczyniło się do rozprzestrzenienia jego kultu w całej Europie.

Aktualne przesłanie św. Sebastiana

Postać św. Sebastiana i związane z nią katakumby niosą przesłanie aktualne również dla współczesnych chrześcijan. Uczą, że wiara nie jest jedynie prywatnym przekonaniem, lecz wezwaniem do świadectwa – czasem cichego, a czasem wymagającego odwagi. Przypominają również, że Kościół rodził się w trudzie, w ukryciu i w cierpieniu, ale właśnie tam objawiała się jego duchowa siła.

Katakumby św. Sebastiana są nie tylko zabytkiem archeologicznym, lecz przede wszystkim miejscem modlitwy i refleksji. To podziemne sanktuarium wiary, które zachęca, by spojrzeć na własne życie w świetle Ewangelii i zapytać, na ile jesteśmy gotowi dochować wierności Chrystusowi – niezależnie od okoliczności.

Święty Sebastian, żołnierz cesarski i jednocześnie żołnierz Chrystusa, pozostaje patronem odwagi, wierności i nadziei. Jego życie i męczeństwo, zapisane w historii i kamieniu rzymskich katakumb, wciąż przemawiają do serc wiernych, przypominając, że nawet w największym mroku można odnaleźć światło wiary.

Aby mówić o tym, jak Jezus postrzegał szabat i jak go celebrował, należy spojrzeć na kwestię szabat w Biblii hebrajskiej. Od początku historii świata

(przez niektórych nazywanej „prehistorią biblijną”) szabat łączy się z aktem stworzenia – Bóg po sześciu dniach, ukończywszy swe dzieło, odpoczął i błogosławił Bóg dzień siódmy, i świętym go uczynił, albowiem odpoczął w tym dniu po całym dziele, które pracą swoją stworzył (Rdz 2, 2-3). Dwa nakazy, jakie Bóg daje pierwszym ludziom to wprawdzie przykazanie bycia płodnym i zaludnienia ziemi, a po wtóre właśnie zachowywanie dnia siódmego jako dnia odpoczynku – choć zdaje się, że nie jest to nakaz bezpośrednio skierowany do człowieka. Odpoczynek pozostaje jednak w ścisłej relacji z pracą (którą w przypadku pierwszej Księgi Mojżeszowej jest stworzenie świata). Dlatego Bóg zawierając z Izraelitami przymierze na Synaju, jako czwarte przykazanie wymienia właśnie święcenie dnia szabat (Wj 20, 9-11) i odnosi się do swojego odpoczynku po dziele stworzenia. Ciekawym jest to, że w tekście, który znamy jako dziesięć przykazań, wspomina się tylko o powstrzymaniu się od pracy (hebr. MELAHA, מְלַחָה), która nie ma jasnej definicji. Później po bardzo szczegółowej instrukcji potrzebnej do zbudowania świętego namiotu (Wj 25,1 - 31,11), Bóg jeszcze raz przypomina, żeby synowie Izraela zachowywali jego szabaty (Wj 31,13); ten, kto natomiast znieważy dzień szabat, winien jest śmierci. Przykazanie zachowywania błogosławionego dnia odpoczynku okazuje się tak ważne, że w przypadku prorocтва dotyczącego błogosławieństwa eunuchów i cudzoziemców przez Boga (Iz 56, 1-8) jest to przykazanie szczególnie podkreślone – jeżeli cudzoziemiec lub eunuch będzie zachowywać szabat i trwać przy Przymierzu z Bogiem, może spodziewać się Jego błogosławieństwa i przyjęcia na świętą Górę (na którą, ze względu na swe pochodzenie, inaczej nie miałby wstępu).

Adrianna Bednarek

Stosunek Jezusa do szabatu

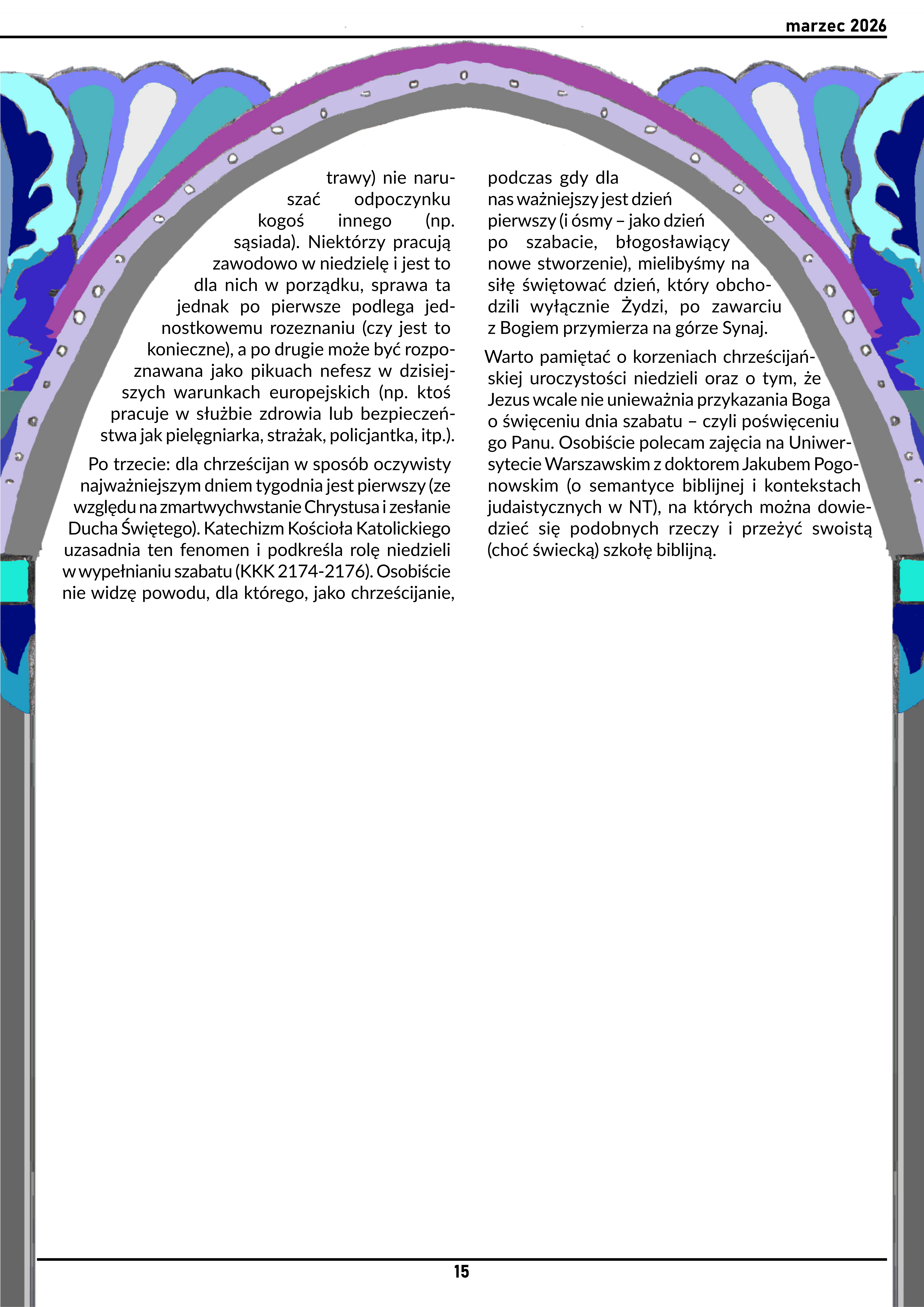
Na słowa Jezusa o szabacie należy patrzeć w kontekście przypomnianych fragmentów Starego Testamentu. Sytuacje dotyczące sporu Jezusa z faryzeuszami na temat szabatu – łuskanie kłosów w szabat i uzdrowienie chorego w szabat – są opisane w Ewangeliach synoptycznych (Łk 6, Mk 2, Mt 12). Oba z tych sporów polegają na tym, że Jezus czyni coś, co faryzeusze uważają za złamanie przykazania szabatu – i to prowadzi do dyskusji, w których Jezus zarzuca faryzeuszom nieprawidłowe rozumienie tego przykazania. Przywódcy religijni interpretowali zakaz pracy (MELAHA) jako powstrzymanie się od jakichkolwiek czynności – z małymi wyjątkami. Do tych wyjątków odnosi się Jezus, przywołując przestrzeganą przez faryzeuszy kwestię ratowania w szabat owcy, która wpadła do dołu (Mt 12,11). Stosuje argumentację a minori ad maius – rozciąga regułę ratowania w szabat zwierzęcia na ratowanie w szabat człowieka, ponieważ człowiek znaczy więcej niż zwierzę. Podobnie w przypadku zarzutów wobec zrywania kłosów przez uczniów Jezusa, polemizuje On z przywódcami, przywołując czynności, które były zabronione w szabat, a które nie spowodowały na człowieka grzechu (spożywanie chlebów pokładnych przez Dawida i jego towarzyszy lub naruszanie szabatu przez kapłanów w świątyni, które naruszeniem szabatu nie jest).

Najważniejszym wnioskiem z dyskusji Jezusa i faryzeuszy jest taki, że Jezus nie łamie jawnie prawa szabatu ani nawet nie znosi go, a jedynie przedstawia swoją interpretację czwartego przykazania dekalogu. Zarzuca faryzeuszom brak zrozumienia (można powiedzieć, że rozbudowali tradycję ustną, w znaczącym stopniu nadinterpretowując Prawo) i używa takich argumentów, które pokazują Jego znajomość zarówno Tory, jak i dodatkowych zasad przestrzeganych przez faryzeuszy. Chodzi więc o to, że szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu. Większą wartość ma poznanie Boga i poświęcenie Mu dnia szabatu niż składanie ofiar czy przestrzeganie tylu zakazów, których Bóg nawet nie ustanowił. Tym samym określa faryzeuszy jako tych, którzy większą wagę przy-

kładają do stworzonej przez siebie Miszny, niż do Tory podarowanej Mojżeszowi przez Boga. Jezus nie unieważnia przykazania szabatowego. Dlaczego zatem chrześcijanie nie obchodzą szabatu tylko świętują w niedzielę? Postaram się zarysować trzy kwestie, które moim zdaniem bronią tę tradycję.

Liturgiczne obchody niedzieli (w katolicyzmie uroczystości – czyli święta najwyższej rangi. Uroczystością jest przecież tak samo Narodzenie Pańskie, Zmartwychwstanie Pańskie, jak i każda niedziela) zaczynają się nie od północy lub pierwszej mszy niedzielnej, ale od pierwszych nieszporów – czyli godziny liturgicznej odmawianej wieczorem w sobotę. Liturgia katolicka bowiem to zarówno liturgia eucharystyczna (tzw. Msza święta), jak i liturgia godzin (modlitwa całego Kościoła, ale w praktyce odmawiana w większości tylko przez księży katolickich, zakonników i tych co bardziej świadomych, „najwierniejszych” świeckich). Obchody niedzieli są tak ważne, że nieszpory w tygodniu biorą nazwę od poszczególnych dni (nieszpory poniedziałkowe, wtorkowe, itd.), ale nie istnieją nieszpory sobotnie – ponieważ ta godzina odmawiana w sobotę wieczorem to pierwsze nieszpory niedzielne (w niedzielę wieczorem odmawia się drugie nieszpory niedzielne). Tym samym zachowano więc żydowską tradycję świętowania szabatu od zachodu dnia poprzedniego.

Drugą kwestią jest podobieństwo żydowskiego szabatu i chrześcijańskiej niedzieli. Występujące w katechizmowym dekalogu trzecie przykazanie, podobnie jak oryginalnie brzmiące czwarte prawo dane Izraelitom na Synaju, mówi o przerwaniu codziennych prac i odpoczynku (KKK 2171-2173). Nauczanie Kościoła Katolickiego wyraźnie sprzeciwia się niewolnictwu pracy i uwielbieniu pieniądza w dzień poświęcony Bogu. Wygląda więc na to, że praca definiowana jest jako ta jonaszowa profesja. Również tzw. prace niekonieczne są w Kościele rozpoznawane jako grzech przeciw bożemu przykazaniu. Z ambony mówi się też o tym, żeby swoimi zajęciami (np. koszeniem



trawy) nie naruszać odpoczynku kogoś innego (np. sąsiada). Niektórzy pracują zawodowo w niedzielę i jest to dla nich w porządku, sprawa ta jednak po pierwsze podlega jednostkowemu rozeznaniu (czy jest to konieczne), a po drugie może być rozpoznawana jako pikach nefesz w dzisiejszych warunkach europejskich (np. ktoś pracuje w służbie zdrowia lub bezpieczeństwa jak pielęgniarka, strażak, policjantka, itp.).

Po trzecie: dla chrześcijan w sposób oczywisty najważniejszym dniem tygodnia jest pierwszy (ze względu na zmartwychwstanie Chrystusa i zesłanie Ducha Świętego). Katechizm Kościoła Katolickiego uzasadnia ten fenomen i podkreśla rolę niedzieli w wypełnianiu szabatu (KKK 2174-2176). Osobiście nie widzę powodu, dla którego, jako chrześcijanie,

podczas gdy dla nas ważniejszy jest dzień pierwszy (i ósmy – jako dzień po szabacie, błogostawiący nowe stworzenie), mielibyśmy na siłę świętować dzień, który obchodzili wyłącznie Żydzi, po zawarciu z Bogiem przymierza na górze Synaj.

Warto pamiętać o korzeniach chrześcijańskiej uroczystości niedzieli oraz o tym, że Jezus wcale nie unieważnia przykazania Boga o święceniu dnia szabatu – czyli poświęceniu go Panu. Osobiście polecam zajęcia na Uniwersytecie Warszawskim z doktorem Jakubem Pogonowskim (o semantyce biblijnej i kontekstach judaistycznych w NT), na których można dowiedzieć się podobnych rzeczy i przeżyć swoistą (choć świecką) szkołę biblijną.



Kultura w Ruchu

Maciej Skoczek

Kopia Górka

Nie pamiętam, kiedy dowiedziałem się pierwszy raz o Centrum Ruchu Światło-Życie. Nie pamiętam też, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem Kopię Górkę. Pewne jest jednak to, że przez lata zmieniała się zarówno Kopia, jak i moje nastawienie do tego miejsca.

Moja pierwsza wizyta w Centrum Ruchu w Krościenku nad Dunajcem musiała mieć miejsce w trakcie moich rekolekcji ODB lub OND. Nie jestem w stanie sobie dzisiaj tego przypomnieć, ale od tego czasu upłynęło już przynajmniej dwadzieścia lat. Sam nie wiem, kiedy to minęło. Nie pamiętam żadnych szczegółów moich pierwszych odwiedzin. Zapewne zwiedzaliśmy różne miejsca na Kopiey Górce, oprowadzani przez jedną z członkiń Instytutu Niepokalanej. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że nie byłem za bardzo nimi zainteresowany.

W kolejnych latach, odwiedzałem z pewnością to miejsce jeszcze kilkakrotnie – podczas kolejnych oaz rekolekcyjnych. Moje skojarzenia z tamtymi wizytami skupiają się głównie wokół ogromnie męczących schodów, prowadzących na Kopię Górkę oraz wokół opowieści, które zawsze miały taką samą treść. Kopia była dla mnie zwyczajnym muzeum Ruchu – czymś na kształt Forum Romanum – zdecydowanie warte zobaczenia, ale niekoniecznie więcej, niż raz w życiu.

Rok 2010 i kolejne lata, to dla mnie okres bardziej świadomego i aktywnego uczestnictwa we wspólnocie. Czas pierwszych posług animatorskich – zarówno w ciągu roku, jak i w czasie rekolekcji wakacyjnych. W roku 2015 dostałem natomiast propozycję udziału w wakacyjnej Miesięcznej Szkole Animatora, która po kilkuletniej przerwie, miała powrócić do terminarza rekolekcji w Centrum Ruchu. Byłem wtedy klerykiem po pierwszym roku i taka propozycja bardzo mi pasowała. Zwłaszcza, że jechało sporo osób z mojej wspólnoty – zapo-

wiadał się zatem dobry czas.

Miesięczna Szkoła Animatora porusza wiele treści, związanych z historią Ruchu, formacją, liturgią, działaniem grupy ludzi i kierowaniem nią. Jednak to wcale nie te treści, tak bogate i różnorodne, okazały się dla mnie najbardziej znaczące. Pan Bóg, wołając mnie wtedy w tamto miejsce, posługując się śp. ks. Piotrem Urbanowskim, obdarował mnie czymś zdecydowanie silniejszym i trwalszym – poczuciem, że Kopia Górka to mój dom, do którego mogę zawsze wrócić i czuć się, jak u siebie. I to na wielu płaszczyznach. Po pierwsze poprzez samo miejsce – Krościenko, Kopia, Dom – przestały być odległym światem, ale stały się miejscem, gdzie moje serce mocniej bije i gdzie za każdym razem odnajduję spokój. Po drugie – ludzie posługujący w Centrum. Oczywiście ogromna ich część już tam nie mieszka (od czasu miesięcznej), ale część została. Zostały też wspomnienia, a one żyją niezależnie od odległości, jaka dzieli. Po trzecie, choć w hierarchii ważności zajmuje pierwsze miejsce – Kopia Górka stała się dla mnie przestrzenią do realnego spotkania z Bogiem, Chrystusem Sługą, który kiedyś, kiedyś powołał mnie do bycia członkiem Ruchu, i który właśnie szczególnie w tym miejscu za każdym razem obiecuje, że poprzez Formację, będzie mnie dalej prowadził w moim małżeństwie, rodzinie, wspólnocie parafialnej, wspólnocie Domowego Kościoła i jeszcze dalej.

Podczas mojej ostatniej, niedawnej wizyty w Krościenku, naszała mnie pewna refleksja. Otóż nazywanie tego, co znajduje się na Kopiey Górce, centrum Ruchu, w moim odczuciu, bardzo słabo oddaje, czym to miejsce właściwie jest. I chociaż nie zamierzam robić żadnej rewolucji, a moja refleksja jest tylko pewnym zabiegiem myślowym, to najchętniej zaproponowałbym zmianę centrum na serce. Dlaczego? Mam na to kilka argumentów.

Centrum kojarzy się ze środkiem. Tymczasem Kro-

ściątko
 nie jest ani
 w środku Polski, ani
 świata. Mimo to rzeczywi-
 ście jest swoistym punktem
 głównym, od którego odbiegają
 linie do poszczególnych wspólnot.
 I tak właśnie jest z sercem – wcale nie
 jest pośrodku, ale to z niego i do niego
 biegną wszystkie naczynia krwionośne,
 rozprawdzające życiodajny tlen. Po drugie,
 centrum, zwłaszcza mi, żyjącemu w zatłoczonej
 Warszawie, przywołuje na myśl środek
 miasta, pełnego ludzi, samochodów, hałasu,
 a nawet swoistego chaosu. Krościenko nie jest
 takim miejscem. W dużej części roku, Kopia Górka
 jest niemalże wyludniona – wypełniona życiem
 i obowiązkami stałych mieszkańców. Biję własnym,
 równym rytmem, co jakiś czas przyspieszając, to
 znowu zwalniając – jak serce, bijące tak, by jak
 najwydajniej obsłużyć cały organizm. Jest jeszcze
 jeden argument – bardzo osobisty – to tutaj
 poznałem moją żonę, nie wiedząc jeszcze, że za
 kilka lat przyjdzie nam założyć rodzinę – zatem

z n o w u
 serce!

Serce Ruchu Światło-
 Życie – często zapomniane
 i traktowane jak muzeum, jest
 prostą, a jednocześnie niezastą-
 pioną pompą, podtrzymującą życie
 całego Ruchu. To tutaj trwa codzienna,
 szczególna modlitwa za Ruch. To tutaj jest
 dom – dom każdego członka Ruchu – dom,
 który wypada co jakiś czas odwiedzić, by znać
 korzenie i rodzinę. Dom, który zawsze jest
 otwarty.

Wiele się zmieniło na Kopiej Górcie, odkąd tu
 przybyłem pierwszy raz, nie mówiąc już, ile się
 zmieniło od samych jej początków. Rozwinęło się,
 rozrosło – podobnie jak serce – z początku małe,
 a z czasem coraz większe i dojrzałe. Jednak
 pomimo tych zmian, podobnie jak serce – sens
 istnienia Kopiej Górki pozostaje niezmienny –
 zmieniło się tylko moje rozumienie tego miejsca.
 Zmieniło się całkowicie.

Jeremi Molak, Oliwia Kwiatkowska, Mateusz Łukasik

Jeremi, czyli o artyście

Mateusz: Kim jesteś i czego pragniesz?

Jeremi: To trudne pytanie. Wydaje mi się, że człowiek jest tylko tym, kim jest w tym jednym momencie, w którym jest.

Więc kim jestem?

Mógłbym się przestawić, że reżyser, aktor, muzyczny, odpowiedzialny, coś tam innego. Ale włącza mi się raczej inna kategoria odpowiedzi. Że obecnie szukam głosu Boga. Skoro jesteśmy na gruncie oazowym to od razu mam chęć podzielenia się tym, że wczoraj właśnie tak bardzo jakoś namacalnie doświadczyłem Jego obecności na Eucharystii. Tak głęboko się ucieszyłem Jego obecnością. I właściwie blaknie wtedy to pytanie o to, kim jestem i czego chcę.

Czego chcę?

Chcę wiedzieć, co mam robić. Tak, myślę, że tak.

Może wszyscy tak mamy, może..., może nie. Ja mogę mówić za siebie. Tak, to jest jedno z moich większych pragnień. Chcę wiedzieć, co mam robić, ale też chciałbym mieć siłę, żeby wypełniać to, co rozpoznam. Bo mam też czasami wrażenie, że właściwie wiem, co mam robić, ale bardzo mi się nie chce.

Może to taka jakaś odpowiedź okrężna, ale chyba najbardziej dzisiaj dotyka mojej istoty.

Mateusz: Nie, tak właściwie to bardzo głęboka i egzystencjalna odpowiedź.

A jak to się łączy z twoim zacięciem artystycznym, bo jesteś w wielu miejscach. Jesteś w SCEK-u, prowadzisz OSZI, występujesz w teatrze amatorskim itd. Mogłeś być trochę bardziej znany, jak twoje plakaty się pojawiły w KM-kach.

Jeremi: Faktycznie tak było, ojejku. Ale dowiedziałem się o tym z trzeciej ręki. Nie wiedziałem, na co się piszę. [śmiech]

Dobrze, to od początku.

Studiuję teorię muzyki. Jestem teraz na magisterce.

W szkole muzycznej drugiego stopnia grałem na fagocie, ale to już dawno. Trochę nad tym ubolewam, że nie jest to proste wrócić, zwłaszcza jak się nie ma zespołu, albo i orkiestry. A jako teoretyk zajmuję się sztuką, muzyką, tyle że to jest bardziej systematyka, opisywanie, recenzowanie, refleksja. Pracę magisterską będę na przykład pisał – bo już się nad tym zastanawiam – o takich zjawiskach, gdzie publiczność staje się współwykonawcą, gdzie jest zacierana granica między wykonawcą, a odbiorcą, słuchaczem. I będę próbował to usystematyzować. Właśnie dużo ma to wspólnego z teatrem, bo wiele ma to do czynienia z performatyką, czyli z tym, jak się wykonuje.

A teatr też jest, chociaż ja w ogóle nie jestem kształcony do tego [śmiech]. Nadal chyba trzeba powiedzieć, że to hobby swego rodzaju. Bo właściwie po prostu w trakcie studiów sobie pomyślałem, że w gimnazjum chodziłem przez rok na takie fajne zajęcia teatralne i w sumie to mi się podobało. Więc może bym jeszcze poszukał, skoro mam tyle czasu. (Jak zacząłem studia i skończył się tryb liceum plus popołudniowa szkoła muzyczna, było dla mnie szokiem, jak dużo jest czasu, kiedy robi się tylko jedną rzecz – jedno studia. Ile jest wolnego.) Więc z tego powodu znalazłem sobie to hobby i trafiłem fenomenalnie – na SCEK i na zajęcia teatralne do Staszka Dembskiego. Chociaż zaczęło się od zajęć z emisji głosu i piosenki aktorskiej u pani Uli Napiórkowskiej. A zajęcia u Staszka dały mi kilka takich jego sposobów, które czynią z teatru amatorskiego, szkolnego i takiego, który jest tylko czytaniem kwestii, teatr z głębią, z sensem i z wyrazem artystycznym.

No a potem? Staszek mnie jakoś tak docenił i po półtora roku już mi oddał trochę swojej roli jako opiekuna grupy i dawał mi pracować reżysersko nad naszymi spektaklami. Zaprosił mnie też do swojego teatru – Pijanej Sypialni – i oddał mi swoją pracę w innym domu kultury – w Dorożkarni –

gdzie obecnie prowadzę już zupełnie moje zajęcia teatralne dla młodzieży.

A ta historia z KM-ek to jest zupełnie inny tor. Jeden z profesorów z uczelni zaprosił mnie do współpracy, wiedząc, że rozwijam się trochę teatralnie. Był to taki koncert w Muzeum Romantyzmu w Opino-górze. On grał miniatury romantyczne, a ja recytowałem wiersze. Zrobiłem więcej niż się profesor Łukaszewski spodziewał, bo tak to potraktowałem, żeby nie była to tylko recytacja, tylko wyzwanie aktorskie i postać.

Mateusz: A czym jest OSZI?

Jeremi: A, OSZI, właśnie! Będą mi mieli za złe, że zapomniałem. Fajnie, że się o OSZI pojawi materiał w Kwiatkach Nowej Kultury.

Jest to taka inicjatywa po jednym z naszych OM-ów. Jestem ze wspólnoty na placu Szembeka, a pojechaliśmy wtedy ze wspólnotą ze Świętego Walca. Więc na OM-ie w ramach pogodnego wieczoru zaproponowałem kilka takich zabaw z teatru improwizowanego. Co skądinąd, nie jest do końca moją działką, nie czuję się najlepiej w ich prowadzeniu i myślę, że nie jestem najlepszym improwizatorem teatralnym. Wolę o wiele bardziej proces głębszego skupienia się na postaci i poszerzania emocjonalności, dochodzenia prawdy.

Ale wróćmy do OSZI. Te impro-zabawy bardzo się wtedy spodobały i pomyśleliśmy, że może warto się spotykać, żeby się zajmować takim teatrem improwizowanym. No i tak właśnie OSZI weszło w życie. Ludzie się zebrali, grupa się rozrosła, zaczęliśmy zapraszać też znajomych, innych oazowiczów, chociaż myślę, że nie wszyscy wiedzą, że coś takiego u nas funkcjonuje.

OSZI zazwyczaj trwa po kilka godzin, powiedziałbym, że to są 3-4 godziny spotkania. No i po prostu robimy wszystkie zabawy dramatyczne, na które mamy ochotę. Ja prowadzę rozgrzewki, potem proponuję jakieś zabawy typu klasyczne freezy czy „tymczasem w...”. Czasami piszemy kwestie, które potem ktoś losuje i musi wykorzystać podczas scenki. Różne takie przyjemne zabawy. Właśnie zaczęły się znowu na grupie pytania: „Jeremi, kiedy

OSZI?”, bo już dawno się nie spotkaliśmy. Powiedziałem, że dam znać po sesji, więc chyba już najwyższy czas.

OSZI zawsze jest otwarte na nowe osoby, zapraszam do kontaktu.

Mateusz: Dołączamy się do tego zaproszenia. Kiedyś było w którymś numerze kwartalnika ogłoszenie na ten temat. Nie wiem, czy ktoś potem doszedł. Miejmy nadzieję, że tak i że ten wywiad się przysłuży.

A tak w ogóle, z masy rzeczy, którymi się zajmujesz z tej dziedziny artystycznej, to planujesz w to pójść w życiu i rzeczywiście to robić?

Jeremi: Cóż, prawdę mówiąc, takim moim planem obecnie najbardziej pewnym jest po prostu to, co wynika z moich studiów, czyli nauka przedmiotów teoretycznych w szkole muzycznej. Jeśli poza tym coś się zdarzy, to będę otwarty. Niektórzy mi sugerują, że powinienem iść jeszcze na drugie studia, na reżyserię. I rozważam to. Podchodziłem zresztą w tym roku. I wiem, że nie będzie na to lepszego momentu, ale jest to zaczęcie czegoś zupełnie nowego, dużo pracy. I w sumie nie wiem, czy jest mi potrzebne i czy do czegoś dojdzie z tego powodu. I czy nie jest wystarczające to, że prowadzę sobie teatry niezależne, młodzieżowe, bo to przecież pozwala na przekazanie jakiejś ekspresji. I może to jest wystarczające dla mnie. Nie wiem. Chociaż Staszek mówi, że trzeba myśleć o La Scali i innych tam... Ale to jest Staszek, to nie jestem ja.

Oliwia: To ja pociągnę ten temat reżyserski, bo to już wchodzi w moją działkę.

Ile już spektakli wyreżyserowałeś?

Jeremi: To po kolei. W lifespacie Teatru na Poddaszu były trzy projekty, chociaż mamy za sobą tak naprawdę tylko jedną dużą premierę. Pierwszy był spektakl „Popatrz na gwiazdy”. To było nasze pierwsze starcie z wystawieniem czegokolwiek. Nie było to najlepsze. Ale już pamiętam, że wtedy Staszek kazał mi (a nie tolerował sprzeciwu) wpisać swoje nazwisko koło jego nazwiska przy reżyserii. Bo faktycznie było tak, że trochę prowadziłem moich kolegów w konkretnych scenach. Udzielałem im już wtedy jakiś uwag. Zwłaszcza, że byłem

jednym ze starszych uczestników Teatru, a dużo się wtedy pojawiało osób nowych. No a Staszek miał taką metodę, że uczyliśmy się też uczyć. To, co mógł nam oddać, zlecić, to dawał i zlecał. Ale to Staszek był wtedy odpowiedzialny za scenariusz. To były „Gwiazdy”.

Drugą rzeczą był Gombrowicz, spektakl „Na bosaka”. Na razie nasze główne osiągnięcie. Kiedy szukaliśmy materiału, na którym moglibyśmy działać, wśród propozycji Staszka pojawiła się „Historia” Gombrowicza, taki niedokończony dramat. To nie było tak, że Staszek nam powiedział, że mamy to robić. Wszystko już było nasze. Wszystkie sceny już tam designowałem ja. Albo też moi koledzy. No bo taka jest jednak praca reżysera. Fajnie jest, jak się czerpie po prostu z aktorów. Bo to też jest danie jakiejś takiej wolności i potem się okazuje, że ktoś ma dobry pomysł na scenę. Czytamy, od razu coś sobie improwujemy i może coś z tego ciekawego wyjdzie. Więc ten Gombrowicz tak z nami po prostu był.

Tak naprawdę drugim spektaklem, który powiedziałbym, że reżyseruję, jest nasza obecna praca, którą mamy nadzieję skończyć w kwietniu. Jest to taki spektakl inspirowany japońskim bestsellerem „Cuda za rogiem”. Chcieliśmy jako zespół zagrać coś zupełnie innego niż Gombrowicz, który jest tak naprawdę serią obrazów. Nie ma tam takiej ciągłej historii, fabuły. Jest to wręcz rodzaj traktatu filozoficznego. A w „Cudach” ewidentnie jest historia. W pewnym tylko momencie naszą obawą było, że treści jest za mało. Że trudno powiedzieć, o czym jest ten spektakl na poziomie jakiegoś znaczenia tego spektaklu. Jakiegoś sensu, który chcemy uzmysłowić odbiorcy. Że jest tylko historia, która ma momentami wzruszyć. Więc niestety musi być to bardzo dobrze zagrane, żeby w ogóle jakikolwiek efekt wywołało. I jest to dla nas poniekąd nowa materia. Ale trzeba się rozwijać.

Oliwia: Siłą rzeczy działasz też jako aktor. My z Mateuszem byliśmy na spektaklu „Na bosaka” i widzieliśmy cię w akcji. Czy nie przyszło ci kiedyś na myśl, że teatr jest bardzo niewdzięczny ze względu na ubogość formy?

Mamy film. W filmie jesteśmy w stanie przedstawić wszystko, co chcemy i jak chcemy. W filmie są klatki, ujęcia. Spektakle są na żywo. Nie możesz się pomylić. Są ograniczenia. Czy czasem nie uznajesz tego za coś gorszego? [sic!]

Jeremi: Teraz się właśnie trochę borykamy z czymś takim, bo o ile w Gombrowiczu nie było tego problemu, to w „Cudach” mamy na przykład problem różnych miejsc dziania się akcji. W filmie nie byłoby to problemem. Tu jest cały proces wymyślania tego, jak my tę scenografię widzimy. Jak ona się zmieni? Kto ją wynosi i przynosi? Czy ona może jakoś musi funkcjonować? Z jednej strony wygląda jak coś, a z drugiej jak coś innego. I to jest też teraz jedna z rzeczy, która spędza mi sen z powiek. Coś tam już się kleci, więc spoko. Ja też się dopiero tego uczę. To też warto powiedzieć, że nie jestem ekspertem w żadnej mierze i nadal jest to swego rodzaju hobby.

Natomiast w porównaniu z filmem, czy w ogóle, jeżeli chodzi o tę ubogość formy... Chyba w życiu bym nie powiedział, że teatr jest czymś gorszym z tego powodu. Ale jest miejsce na refleksję w ogóle o współczesności, o naszym attention spanie i docenianiu tego, że coś się właśnie dzieje na żywo i jesteśmy częścią wydarzenia. Nie wiem, czy wszyscy by to docenili w ten sam sposób, bo faktycznie teatr jest mniej efektowny. Wyobraźmy sobie, jak efektowna może być scena w filmie, a jak efektowna może być w teatrze. Zwłaszcza w teatrze młodzieżowym, prawda? Nie będzie tam fajerwerków. No ale jest to coś... I jest na pewno wielka przyjemność w graniu na żywo. Nie miałem doświadczenia grania w filmie, więc nie porównam, ale niesamowicie jest wyjść na scenę, zagrać wobec ludzi, z którymi często bym nie wiedział, jak zacząć rozmowę i których może jestem trochę wystraszony, bo nie wiem, kto przyszedł. Może nie wszystkie twarze zobaczę i rozpoznam, a potem się okaże, że na przykład Pani Ula była. Więc powiedziałbym, że jest to bardzo wdzięczna forma. I jest właśnie czymś niesamowitym bycie w tej chwili. To jest coś, czego film nie ma. Właśnie ten kontakt z publicznością... Fajnie jest też, jak ta publiczność nie jest taka zupełnie martwa. Na

przykład z Gombrowiczem jest tak, że spektakl jest dość poważny. I wszyscy, którzy tego słuchają, słuchają tak w skupieniu. A naszą chęcią w tym spektaklu było pokazanie na przykład momentów zabawnych, humorystycznych. I to chyba nie do końca po prostu wychodzi. My to nie do końca też umiemy zrobić. Bo my się na przykład na próbach po prostu śmiejemy. Lejemy z pewnych rzeczy. Bo to jest jakieś po prostu mega zabawne. Ale potem przychodzi starcie z tą publicznością, która nie jest w tym samym, co my. I nie ma tego odniesienia. I która tak to ogląda, tak „yhm yhm” poważnie. I może jest takie właśnie marzenie, żeby być na tyle dobrym, aby powiedzieć tej publiczności: Teraz się zaśmiejcie. Czy wy żyjecie? Czy wy tam jesteście? Czy jesteśmy zabawni? Czy wam nie wypada się śmiać?

Oliwia: My właśnie byliśmy na tym spektaklu, ja siedziałam po jednej stronie, Mateusz po drugiej. I na przykład wokół mnie ludzie się śmiali. Nie wiem, czy wy słyszeliście, czy nie. Oczywiście to nie było tak, że tłum się śmiał. Ale niektórzy ludzie łapali, kiedy się trzeba śmiać. Tylko wiem, że niektórzy mają taką blokadę, że boją się, że zranią w jakiś sposób aktora. Albo że wy chcecie coś powiedzieć dalej, a oni was zagłuszają. Tak mi się zdaje, że to tutaj jest problem.

Teraz bardzo płynnie przejdę do następnego pytania. Mówiłeś, że ludzie dostrzegli w tobie ten potencjał reżyserski. I cię namawiali na to, żeby zdać do szkoły reżyserskiej?

Jeremi: Tak, zwłaszcza dwie takie osoby. Właśnie Staszek, przede wszystkim chyba. A druga osoba to moja przyjaciółka z Pijanej Sypialni. I ona mi musiała to uzmysłowić, że wcale nie jest tak, że jak mam te 23 lata, to już jestem za stary na zaczynanie studiów. Że to nie jest wcale za późno zacząć kolejne 5 lat nauki.

Oliwia: A wspomniłeś, że już zdawałeś, że już próbowałeś.

Jeremi: To było tak spontanicznie i prawie na ostatnią chwilę. I nie zrobiłem wystarczająco dużego wywiadu. Rekrutacja polegała na tym, że w pierw-

szym etapie trzeba złożyć egzemplarz reżyserski jakiejś sztuki, czyli po prostu to, co ja bym chciał zrobić jako reżyser z jakąś sztuką istniejącą. No i z pewnością zrobiłem to źle po prostu. Z nikim tego nie konsultowałem i robiłem to na ostatnią chwilę. Gdyby mi zależało, to konsultowałbym się o wiele więcej z kimś, kto wie, jak taki egzemplarz powinien wyglądać. Wziąłem taką sztukę, zresztą bardzo mi się ona podoba, „Wilki w nocy” Tadeusza Rittnera. Jest tam taka cudowna płątina psychologiczno-moralna. Kto ma rację, a kto jest właściwie niebezpieczny, komu nie należy ufać; kto jakby nie ma wyższego moralnego high ground-u, a kto uważa, że ma. Mniejsza o to. Zrobiłem egzemplarz o tym. Kilka pomysłów miałem na jakieś pojedyncze sceny, ale też sam wiem doskonale, że dużo tam mogło brakować nawet zasadniczych rzeczy, których może nie wiedziałem, że należy uwzględnić.

Oliwia: No tak, życzę tobie powodzenia i wierzę w ciebie, że tam będziesz. Jeszcze będziemy mówić, że my pierwsi przeprowadziliśmy wywiad z reżyserem o jego reżyserii, czy coś takiego.

Mateusz: A w ogóle udzielałeś kiedyś wywiadu?

Jeremi: Jednego, ale to w ramach pracy, tam chodziło o to, jak prowadzę zajęcia.

Mateusz: Okej, to uznajmy, że jesteśmy pierwsi.

Jeremi: Tak, absolutnie.

Oliwia: Mówiłeś właśnie o tych ludziach, o tym, jak oni to przyjmują, tę sztukę. Czy myślisz, że jeszcze katharsis mogłoby funkcjonować? I w ogóle czy doświadczenie sztuki, jako spektaklu teatralnego, jest potrzebne ludziom?

Jeremi: Ja mogę przyznać to, że to wszystko zależy od wrażliwości. Dla mnie istnieje. Ja jestem co prawda tylko hobbystą teatralnym. Nie znam się w ogóle na repertuarach obecnie granych. Natomiast siłą rzeczy znam kilka spektakli Pijanej Sypialni. Widziałem kilka ich spektakli, które właśnie poruszają. Bo kilka mają takich komediowych, lekkich, jakby bez zobowiązań. Ale taki chyba mój ulubiony, raz tylko go widziałem, to „Poper” Hanocha Levina.

Jest to spektakl o nienawiści bez powodu, z kalibrem, taki psychologiczny. Tam w ogóle jest mnóstwo do wydobycia. A oni nadal do tego podchodzą z dystansem. Ale doświadczyłem coś takiego, może można to nazwać katharsis, że po obejrzeniu sobie myślę, co ze mną. I że mają rację. Albo że w czymś mają rację, a w czymś innym nie mają. I pobrzmiwa jeszcze mi w uszach piosenka i jej słowa; i sobie myślę, że właśnie czuję się jak sierota, że dzisiaj właśnie jakoś jestem samotny i tak dalej.

Jeszcze na przykład z takiego podwórka też szerszego jednak chyba niż Pijana Sypialnia, chociaż to trudno powiedzieć – porównywalnie. Ostatni spektakl poza Pijaną Sypialnią, na którym byłem. To było „Seminarium diabła”. Nie wiem, czy widzieliście. Polecam bardzo, jeżeli gdzieś będziecie mieli okazję. I naszym czytelnikom. To jest spektakl oparty na „Listach starego diabła do młodego”. Przygotowany przez dwóch panów, Łukasza Mateckiego i Jacka Plutę. Garściami recytują tego Lewisa. I to po prostu wstrząsa człowiekiem. To jest taki rodzaj spektaklu, że tam siedzisz i sobie myślisz. Ale ten diabeł jest przebiegły. Nie? A to jest do mnie. I tak sobie myślisz. Siedzisz tam i po prostu... Świetną grę światłami mają, na gitarach grają, bodźców jest mnóstwo. I tekst książki. Ale powiedziałbym, że raczej się nie dłuży. Chociaż wyobrażam sobie, że można mieć taką perspektywę, właśnie nawiązując do refleksji na temat współczesnego attention spanu.

Też to katharsis tam może można znaleźć. Myślę, że warto zobaczyć, że w ogóle teatr katolicki, jakaś taka tendencja jest, że ma się dobrze. To znaczy nie ma może wielu tak dobrych produkcji. Serio dobrych. A to jest jedna chyba z takich, które trzeba powiedzieć, że wyświęciły swój zasłużony sukces. W ogóle ci goście też opowiadali, że wszyscy im odradzali tego pomysłu, bo kto będzie słuchał takich treści. A właśnie teraz któryś już sezon grają i mają duże zapotrzebowanie, wypełnione sale itd. Więc też zapraszam do tego, żeby samemu tego doświadczyć. I tak właśnie się pocieszyć, że jednak w Kościele też mamy dobrych artystów. I może też

ich wspierać.

Mateusz: Pociągnijmy ten wątek religijny. Jak widzisz relacje między religią, a sztuką?

Jeremi: To szerokie pytanie i też trudne.

Mateusz: Możesz tak osobiście powiedzieć.

Jeremi: Tak, tak. Koniecznie, koniecznie. Myślę, że to jest jedyne, co mamy. To jest doświadczenie osobiste. I nie wolno, moim zdaniem, nie wolno powielać stereotypów, bo świat jest zupełnie inny niż w stereotypach.

Zacznę od tego, że nie jestem jeszcze na tyle dobrym twórcą, żeby mieć taką wolność w tym, że zakomunikuję, co chcę, i będzie świetnie. Na przykład jeżeli chodzi o komunikat spektakli, które sam przygotowuję, w których biorę udział. Bo to nie jest do końca moje miejsce. Mówiłem już, jakie było pochodzenie Gombrowicza. „Cuda za rogiem” wzięliśmy dlatego, że po prostu spełniało nasze wymagania. Bo było dokładnie tyle postaci i każdy z nas miał coś satysfakcjonującego do zagrania. No więc czynniki praktyczne były ważniejsze.

A w samej pracy... Od Pani Uli wiem, że jeśli chodzi o wizję, w sztuce panuje despotyzm oświecony. Czasami się tego obawiam, że może jestem zbyt surowy wobec moich aktorów. I też jakby pracuję nad sobą w tej materii, żeby nie zamykać się na to, co sami mogą mi sugerować, bo są to często rzeczy bardzo wartościowe. Odkrywam też przy tym swoje własne granice wyobraźni. Czasem się okazuje, że coś, co na przykład uważałem, że zupełnie nie ma sensu, czy wyobrażałem sobie, że praktycznie się nie uda, okazuje się dobre. Że właśnie w tym jest metoda i dzięki temu przynajmniej jest coś ciekawego.

Ale może to nie jest do końca religijny wątek.

Dla mnie taką na przykład rzeczą, którą musiałem sobie ułożyć, było wejście do Pijanej Sypialni. Ponieważ Pijana Sypialnia jest teatrem... [śmiech] [Ciekawe, czy to zobaczą, kiedykolwiek, gdziekolwiek.] Oni są... Zresztą bardzo ich lubię, a po chrześcijańsku nawet kocham. Ale są też grupą taką... typowych warszawskich trzydziestolatków.

Starszych lub młodszych. To nieważne zresztą. Tak się śmieję, że typowych, bo chodzi po prostu o takie zabarwienie mocno lewicowo-liberalne, katolicko-sceptyczne. Przynajmniej ja to tak widzę w porównaniu do mnie. Zresztą sama nazwa Pijanej Sypialni. Musiałem sobie odpowiedzieć na takie pytanie: czy to jest świadectwo dobre dla Nowej Kultury, którą też żyję.

Ale jest dla mnie miejsce rozwoju, dużego; i takiej okazji, której bym nie miał gdzieś indziej. A nawet pomijając ten fakt, doszedłem do takiego założenia, że nie wolno opuszczać pewnych grup tylko dlatego, że ludzie w tej grupie są inni ode mnie, bo taką drogą naturalnej selekcji szybko się okazuje, że mamy tylko środowiska radykalne. A trzeba się po prostu nauczyć żyć razem, rozumieć siebie i rozmawiać o tym, co się myśli. I tak na przykład z moim dobrym przyjacielem – Wojtkiem z teatru Pijana Sypialnia. Na każdym wieczornym spotkaniu imprezowym Wojtek namawia mnie, żebym się z nimi napił. I żebym nie marnował sobie życia. Ja mu spokojnie tłumaczę. On czasami mnie słucha bardziej, czasami mniej. I często ma dużo racji w tym, co mówi. Czy o pomyśle na abstynencję, czy o wierze katolickiej. Zresztą Wojtek jest wierzący.

Miałem coś jeszcze innego, czym chciałem koniecznie się podzielić. Z drugiej strony też można powiedzieć: „Nie idź w takie środowisko, bo będzie z tobą gorzej”. W sensie z kim przestajesz, takim się stajesz. I okej, to prawda. Myślę, że po prostu trzeba też coś o sobie wiedzieć, czegoś doświadczyć. Jeżeli martwimy się tym, żeby nie stracić wiary, gorliwości czy takiego przekonania swojego, to po prostu trzeba je najpierw mieć. Myślę, że nawet jako oazowicze może być tak, że często nam brakuje tego. Dopóki jesteśmy w tej grupie, dopóki jesteśmy na rekolekcjach, to wierzymy. A tego osobistego doświadczenia, spotkania z Panem Jezusem, może nie wszyscy wystarczająco dużo szukamy. Że istnieje wiara też poza wspólnotą, że musi być wiara poza wspólnotą, żeby stworzyć wspólnotę ludzi wierzących. Więc trzeba coś o sobie wiedzieć, żeby

z odwagą wejść w środowisko, które niekoniecznie będzie mnie uświęcało. Żeby nie utracić tego, co jest dla mnie najważniejsze.

Ale druga rzecz, którą odkryłem... Na początku było to dla mnie takie doświadczenie dające do myślenia i „upokorniające” człowieka, że jest też dużo dobra, którego mogę się nauczyć od aktorów Pijanej Sypialni; rodzajów relacji, które ludzie mogą mieć ze sobą. Szczerości, rozwiązywania konfliktów. Nawet jak się wydaje, że nie ma opcji, że coś przyniesie dobre owoce, może się okazać, że właśnie przyniesie. I chyba to jest też moje doświadczenie z Pijaną Sypialnią. Zobaczenie życia wspólnoty niekatolickiej, nieoazowej.

Oliwia: Chciałabym dopytać jeszcze o tę Pijaną Sypialnię. To jest teatr, gdzie dyrektorem jest Pan Dembski.

Jeremi: Tak, takim współ, ale tak. To jest teatr złożony z jego wychowanków. On już trochę ma stażu w branży uczenia młodzieży teatru. Więc są tam osoby nawet po studiach teatralnych. Zwłaszcza Sławek Narloch się ciśnie na usta, który w ogóle jest reżyserem uznanym w przestrzeni warszawskiej czy w ogóle polskiej. I w teatrach takich profesjonalnych reżyseruje. Ale są też właśnie amatorzy, są po prostu wychowankowie Staszka, którzy jakby nigdy nie przestali z nim chodzić na zajęcia. Jest też w zespole kilka osób z castingów.

Oliwia: Czyli macie tam taką jakby stałą obsadę. Stały zespół. Czyli pewni aktorzy, pewni reżyserzy, bo rozumiałam, że tam jest parę reżyserów.

Jeremi: Tak. W sensie ja nie mam doświadczenia tworzenia spektakli wielu z nimi. Dostłownie jeden. I pół.

Oliwia: Ale jesteś w tym zespole.

Jeremi: Jestem w tym zespole i wszedłem też do paru spektakli za kogoś, kto już w nich nie gra. Bo jednak zarobki są symboliczne, więc jak ktoś ma obowiązki swoje i swoje życie, to nietrudno mi sobie wyobrazić, że trzeba z pewnych rzeczy zrezygnować. Ale tak, głównie reżyserują Staszek,

S ł a w e k
i czasami Ola
Gajek – nasza mena-
dżerka. Ale Sławek jest
naszą gwiazdą reżyserską
i kiedy tylko ma czas, to po prostu
i tak spojrzysz na ten spektakl, który
jest przygotowywany i jakoś go oceni.

Jest tam taki trzon osób zawsze zaangażowanych i kilka takich osób weekendowo-dojazdowych, że jak gramy coś, to oni też mogą w tym wziąć udział. Jest na przykład spektakl „Wodewil warszawski”, w którym potrzeba sporo ludzi, żeby to wystawić, a nie trzeba do niego nic ćwiczyć. Zresztą już teraz nie spotykamy się regularnie, chyba że przygotowujemy nowy spektakl.

Oliwia: Słyszałam, że teraz szukacie mężczyzn. Nie wiem, dlaczego mężczyzn, że kobiet nie chcecie i że szukacie mężczyzn do swojego teatru, bo potrzeba jest duża.

Jeremi: Tak, tak. To podobnie jak w chórach, nigdy nie ma tenorów. Basów jest cztery razy mniej niż sopranów. A panowie bywają bardzo ciekawi na scenie.

Statystycznie jest w Pijanej sporo dziewczyn, które od razu będą brały udział w każdym następnym spektaklu, nieważne co to będzie. Zadeklarują się, że chcą współpracować i tak dalej. A z panów właśnie jestem ja, jest Sławek, Staszek też gra w niektórych spektaklach, jest rewelacyjny na scenie zresztą. A poza tym Wojtek i Konrad, który jest też bardzo aktywny, ale obecnie ma dużo obowiązków. Do tego ostatnio nam jeden z kolegów zrezygnował, a inny jeszcze jest właśnie taką typowo dojazdową osobą, że po prostu, jak potrzeba to przyjedzie. Więc panów faktycznie jest tak... mało.

Oliwia: Jeszcze się uczeplię tej Pijanej Sypialni ostatni raz. Macie stałą lokalizację?

Jeremi: Nie mamy. To jest tak, że Pijana Sypialnia jest teatrem niezależnym i nie ma swojej siedziby. Próbuje się na Bielanach w jednym domu kultury. Wieczorami, jak już się tam wszyscy wyniosą. A wystawiamy tak naprawdę, gdzie się uda.

Trzeba rozróżnić sezon w roku szkolnym i w wakacje.

Zeszły rok był bardzo udany, bo graliśmy w Teatrze

Współcze-
snym. Wypoży-
czaliśmy salę i raz na
miesiąc w weekend grali-
śmy jeden czy dwa spektakle.
I to było bardzo fajne. Jedyny
minus jest taki, że wyszło nam w bilan-
sie pieniężnym na minus i to było coś,
do czego jako teatr dopłaciliśmy. W sensie
nie idzie to z naszych osobistych środków,
bo istnieje fundusz teatralny. Zresztą dla
Staszka Pijana Sypialnia jest bardzo ważna i on
z wielką przyjemnością też w to inwestuje.

Natomiast... Nie jest to taka rzecz, którą moglibyśmy powtarzać. W tym roku mieliśmy plan grać spektakle w Potem-o-tem, ale na czym teraz sta-
nęło – nie jestem do końca pewien. Zaśpiewaliśmy jeden koncert świąteczny tam i na razie tyle. A wakacje... do tej pory w jednym takim sezonie wakacyjnym brałem udział, tam jest o wiele więcej grania. Zazwyczaj co weekend, także poza Warszawą. Jeździliśmy po Polsce i graliśmy na przykład w Chojnicach. Była też taka historia, że wyjechałem na jeden dzień z rekolekcji wakacyjnych, żeby zagrać... to było w Katowicach chyba. Dobrze się to udało – akurat zsynchronizowaliśmy mój wyjazd z wyjściem w góry.

I to było mega zabawne, bo rola była bardzo rozrywkowa. Aż się śmiałem, że może powinienem na Agapę wyjąć ten kostium, bo sam kostium jest naprawdę całkiem odjechany.

Oliwia: Parę miesięcy temu widziałam, że byłeś na scenie w Teatrze Polskim. Czy to z tą ekipą właśnie stamtąd?

Jeremi: To akurat był festiwal teatrów młodzieżowych. W Teatrze Polskim dużo takich inicjatyw się dzieje, bo dużo można na to dofinansowań dostać. Byliśmy tam z Teatrem na Poddaszu z naszym Gombrowiczem. Zresztą była to premiera tego spektaklu i wyszło nam fenomenalnie. Zgarnęliśmy pierwszą nagrodę i to nagrodę pieniężną, taką nawet dość konkretną. Wobec czego obecnie nawet prowadzimy zakupy scenografii na nasz następny spektakl. Zrobiło się tak poważnie bardzo. I taką rangę żeśmy dostali. A poza tym też na przykład sfinansowaliśmy sobie wyjazd, bo teraz się dostaliśmy na kolejny festiwal z Gombrowiczem. Do Horyńca-Zdroju. Staszek tak nas pokierował.

I to już jest taki festiwal doroślejszy. Jest dla nas wyróżnieniem, że tam się z naszym spektaklem dostaliśmy. Jedziemy tam pod koniec lutego.

Mateusz: Jeremi, scena jest twoja. Jeśli jest coś, z czym chciałbyś zostawić naszych czytelników na koniec, to jest ten moment.

Jeremi: To znaczy poza takim oczywiście, że zapraszam na premierę „Cudów za rogiem”, a i na Gombrowicza nawet może się jeszcze uda załapać, bo jeszcze zagramy go z raz u nas w SCEK-u, albo dwa, jeśli dobrze pójdzie. Poza tym mam zupełną pustkę.

Oliwia: A co byś powiedział właśnie takim artystom też wzrastającym, którzy czują, że są w rozkroku między byciem artystą, a byciem chrześcijaninem?

Jeremi: Widziałem filmik na YouTube, gdzie kolega zza oceanu (chrześcijanin, nie wiem czy katolik, ale chrześcijanin) uzasadnia, dlaczego zajmuje się horrorem, dlaczego kręci horrory. Bardzo mnie zainspirował. Nie mówi, że o jejku, jakie to jest niepokojące, że z horrorem tylko złe duchy się kojarzą; ale mówi, że to może być też narzędzie do wyrażania myśli chrześcijańskiej. Mówi też, przecież poczytajcie sobie Pismo Święte i zobaczcie, jakie horrory tam są. I zobaczcie też, gdzie Pan Jezus wchodzi. Jak nie ucieka od grzeszników, ale ich nawraca; ani nie ucieka od złych duchów, ale je wypędza.

Już zresztą ta myśl padła, że nie wolno wycofywać się z przestrzeni, które możemy zagospodarować, w które możemy wejść z Dobrą Nowiną, z Ewangelią, z Nową Kulturą też, czy w ogóle z kulturą, z nawracaniem przez takie powracanie, takie zain-

teresowanie się tym, co jest serio piękne i co wartościowe. Ważne jest właśnie to, żeby mieć swoje zakorzenienie, swoje źródło i być jego świadomym. Bo bez tego, jak się zapuszczamy, to oczywiście łatwo nas gdzieś z falą zabrać. Ale ja bym powiedział, że wręcz nie wolno się bać. Nie wolno się obawiać, że to się ze sobą nie łączy. Nie! Łączy się właśnie w tobie, w tobie się to połączy. Po prostu bądź w tej przestrzeni. Wejź w nią, zagospodaruj ją.

Trzeba też dużo w tym oczywiście pokory, bo to nie chodzi o to, żeby samemu w tym być, że to ja jestem. Tylko właśnie że jestem w tym dobrym chrześcijaninem. Gdziekolwiek jestem, jestem dobrym chrześcijaninem. Często wcale nie chodzi o to, żeby opowiadać tylko ludziom, dlaczego nie piję, tylko o przykład życia. I o to, że ludzie wiedzą, że jestem wierzący i że jestem z nimi.

Na przykład „Ekoopera” z Pijanej Sypialni jest takim spektaklem, że można powiedzieć, że „ooo, uderza w Kościół”, że to i tamto. A według mnie jest to też bardzo piękny spektakl i sam się nim wzruszyłem bardzo. Chociaż myślę, że obraz Kościoła, który tam był, jest dość stereotypowy i ja bym sam tego tak nie przedstawił, ale ten obraz istnieje i nie będę się tego bać, ani tego wypierać, ani temu zaprzeczać, że tak nie jest. Tylko właśnie też chcę tam być i też chcę porozmawiać o tym spektaklu, jeżeli będzie z kim.

Po prostu – odwagi. Jeden z inspirujących mnie animatorów (co prawda raczej mojego pokolenia, niż starszy ode mnie) miał zawołanie: Nie lękaj się. Nie. Lękaj. Się! A to przestanie prosto z Biblii. No. Nie lękajcie się...

Ks. Wojciech Danielski

„Strzeż depozytu”

Homilia wygłoszona
podczas nabożeństwa błogosławienia animatorów

Najpierw (prócz tego wszystkiego coście w przygotowaniu animatorskim już otrzymali) podkreślmy to, że animator to jest człowiek, który przekazuje nie swoje. Mówi się, że się rozmydla na tym szczęblu. Jeżeli animator jest człowiekiem, który sam nie stawia sobie wymagań, to oczywiście zależni od niego ludzie, też będą z przyzwyczajeniem oka traktowani. I ksiądz może tego nie widzieć, że na szczęblu już animatora formacja się jakbyśmy powiedzieli rozłazi. Animator to jest człowiek przekazu. Wiernego przekazu. To jest coś takiego, jak kiedyś lektorowi przekazywano w święceniach Słowo Boże: idź, głoś jak echo słowo Boże”. Słowo Boże, tak jak zostało zrozumiane przez formację naszą, przez formację wspólnot Ruchu Światło-Życie, przez formację wspólnot oazowych i postoazowych, tak przekazujemy wierne. Ani nie ujmując, jakoby żeby ludziom ulżyć, bo to za ciężkie, za trudne, zbyt skomplikowane. Ani nie dodając od siebie. Są bowiem również animatorzy, którzy nie są ludźmi wiernego przekazu, są animatorzy, którzy mogąc ludzi uchwycić w rękę stawiają swoje wymagania, i z takimi ludźmi nie można wytrzymać. Są ludźmi samowolnymi, głoszą w końcu siebie i swój punkt widzenia chrześcijaństwa, już nie mówiąc o tym, że Ruchu. Przed tym ostrzegając, proszę was: abyście byli wierni charyzmatowi. Od was to bardzo dużo zależy, żebyście przekazywali: „strzeż depozytu” – jak Paweł Tymoteuszowi pisze. To jest coś, coście dostali, jeżeli to dla was stało się wartością, wartością ogromną, takie odczytanie dojrzałości chrześcijańskiej, to tym się dzielcie, ile tego w was jest. I starajcie się, by to było coraz gorliwsze, coraz lepsze.

Dlatego animator to jest człowiek nawrócenia, to jest człowiek, który sam staje się nowym człowiekiem, który sam się ciągle nawraca. I tylko wtedy on będzie miał moc, stawiając sobie wymagania, postawić wymagania z miłością, postawić wymagania człowiekowi: „słuchaj, przecież wiesz, że u nas w żadnych okolicznościach, nawet czy ktokolwiek widzi, czy nie widzi u nas się nie pali”. Ale to jest

człowiek nawrócenia, który sam może mając dotąd z tym trudności, nieustannie się nawraca.

Gorąco wam to kładę na serce, żebyście nieustannie byli ludźmi nie tylko nawrócenia, szerzej mówiąc, nie tylko nawrócenie siebie, ale pokuty, także i pokutowania. Trudne przypadki ludzi będą wymagać waszych umartwień, może będą wymagać różnych znaków pokuty: tego, iż oprócz moich wad, z których staram się poprawić – z czegoś dobrego rezygnuję (z telewizora czy z czegoś, nie wiem, czego, to wy wiecie), ze względu na to, żeby tamtego biedaka, tamtą biedulę, podciągnąć do Pana Jezusa bliżej, bo się rozsypie coś w rękach i nie możemy sobie razem z księdzem moderatorem w sprawie tego człowieka poradzić, który nam tak obciąża w dół poziom całej naszej wspólnoty. Animator jest człowiek nawrócenia, ale także człowiek pokutujący, który z Chrystusem dźwiga krzyż za zbawienie ludzi.

Animator to jest także człowiek modlitwy. Wiemy, że w wymaganiach wobec animatorów jest ta modlitwa na początku każdego dnia, modlitwa zespołu animatorów danej wspólnoty oazowej, i różnie z tym bywa. Bywa, że animator nie tylko nie modli się ze swoją grupą, ale z jego modlitwą nie bywa najlepiej. A to wyjdzie, bo „jeżeli we Mnie trwać nie będziecie, nie przyniesiecie żadnego owocu”. Dlatego, przepraszam was, to nie tylko zapomnienie, ale ja naprawdę chciałem w jutrzni uczestniczyć, bo kiedy ja będę miał jutrznię? Może, dlatego i wasze nabożeństwo się opóźniło. I może to tak powinno być, że diakonia nie powinna siedzieć na zapleczu i wszystko robić, kiedy inni się modlą! Jak się wszyscy modlą, to się wszyscy modlą. Zobaczmy w dobrych klasztorach, jak to jest, na furcie nie ma nikogo, telefonów nikt nie odbiera, bo teraz jest modlitwa poranna albo modlitwa wieczorna, i nikt nie śmie przeszkodzić. I to nie jest tak: niech się tam grupa modli, a my tutaj tymczasem to czy tamto zrobimy, bo przecież nie zdążymy. Jak jest modlitwa, to animatora musi być widać we wspólnocie modlitwy, musi go też być

w jakiś sposób słycać. On się musi dzielić swoją modlitwą, to musi być człowiek modlitwy, który daje świadectwo tego, co Duch Święty w nim czyni. I on w swoich odezwaniach modlitewnych nie będzie się popisował, ale się podzieli.

Jeżeli powiedziałem, że animator to jest człowiek przekazu i nawrócenia, i pokuty, i modlitwy, to musimy powiedzieć, że to jest także człowiek Eucharystii. I nie może dla animatora Msza być czymś, co mu się nudzi i dłuży. I czy go widzą, czy nie widzą, czy ma dawać komuś dobry przykład czy nie ma, Jezus Chrystus we Mszy Św. i w Namiocie Spotkania jest jego najbliższym przyjacielem, jest jego powiernikiem. W Eucharystii będzie się wszystko rozwiązywać, do Eucharystii dochodzi i z Eucharystii wychodzi cała jego postuga.

W końcu animator to jest człowiek posłuszeństwa. To jest człowiek, który chcąc mieć posłuch, sam umie słycać. Podobno można mieć technikę wyrobienia sobie autorytetu: ktoś mi niedawno powiedział (zmroziło mnie to): no, przecież po tym wszystkim, cośmy przeszli i co już umiemy, no, to zdobyć posłuch w grupie, no, to nie problem. Wydaje mi się, że tu nieraz trzeba przeżyć dużo posłuszeństwa. Tylko w ogóle, czy to jest problem posłuszeństwa – czy też problem zrozumienia się wzajemnego? Bo nie tylko jest sprawa „wyciskania czegoś” z ludzi. Ale wtedy, jak moje posłuszeństwo wygląda? Czy ja się z moderatorem „dogadałem” i zgadzam, czy też ja wykonuję polecenia, bo się boję? Czy ja wykonuje polecenia tylko zewnątrz? Jak wygląda moje posłuszeństwo? Czy jest to posłuszeństwo w duchu posoborowym, kościelnym, posłuszeństwo współodpowiedzialne? Posłuszeństwo nie tylko rozumne, o jakie się woła, żeby nie było ślepe? Posłuszeństwo współodpowiedzialne, to znaczy, że na mnie możnaliczyć. Że ja

nie tylko nie zaniedbam, ale też nie wyskoczę ponad to czy poza to. Że się nie znajdę poza burdą zupełnie z moim „działaniem”, że już będę zupełnie biegł, biegł, ale poza bieżnią, wiecie, po trawce pobocza boiska będę biegł, już zupełnie inną bieżnią. I to jest człowiek posłuszeństwa także swojemu kierownikowi, przewodnikowi duchowemu. To jest człowiek, który już ma swoje kierownictwo duchowe, i spowiednik już go na pewno zna. Już go na pewno prowadzić może, i regulować także nieraz to wszystko, co jeszcze ze starego człowieka płacze mu się w jego posłudze animatora, bo jest młody. Bo jest to danie w ręce młodemu człowiekowi bardzo trudnych spraw i dużej odpowiedzialności. A spowiednik i moderator, chyba ci dwaj, w imieniu Chrystusa podprowadzają tego młodego człowieka pod następny próg dojrzałości, już z jakąś odpowiedzialnością niewielką. A potem: „byłeś wierny w małym, postawię cię nad wieloma”. Będziesz miał wielką odpowiedzialność za swoją rodzinę, wielką odpowiedzialność za ludzi, nad którymi przyjdzie ci pracować, może jako wychowawcy, może jako kierownikowi w pracy, nie wiadomo, może jako kapłanowi, może jako katechetce, nie wiadomo, ale to tutaj, w waszym bardzo delikatnym wieku, trzeba się w tamtą stronę oglądać.

W końcu jest to człowiek jedności. Jest to człowiek, który scala, a nie rozbija. Myślę, że w tym miejscu gdzieś weryfikują się animatorzy. Tamto wszystko sprowadzi się tutaj. Bo jeżeli ten człowiek nie ma modlitwy, nie ma Eucharystii, nie ma posłuszeństwa wobec spowiednika i moderatora, nie ma pokuty i nawrócenia, i ducha przekaziciela – to ten człowiek ciągle będzie starym człowiekiem, będzie rozrywał, rozbijał i psuł, i sam będzie porozbijany, i innych będzie rozbijał.

Krościenko nad Dunajcem, 22 maja 1983 r.